



Kazimierz Iwaszko

Sygnatura notacji: **N1449**
Data urodzenia: **5.05.1950 r.**
Data nagrania: **16.06.2020 r.**
Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Justyna Skowronek**
Czas nagrania: **część I: 66 min, część II: 25 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

część I z II



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Kazimierz Iwaszko: Nazywam się Kazimierz Iwaszko, urodziłem się na wsi pod Lublinem w 1950 roku. Studiowałem w Lublinie, całą młodość spędziłem tam, ale później wyjechałem, na początku stanu wojennego zostałem w pewien sposób jakby wypędzony z Lublina, choć nie musiałem uciekać, do Gdyni, skąd pochodzi moja żona, no i tu zostałem już.

Justyna Skowronek: Dziękuję bardzo. Właśnie w ten sposób pan nawiązał do mojego drugiego pytania, bo chciałabym dowiedzieć się, czym zajmował się pan w sierpniu 1980 roku.

Kazimierz Iwaszko: W sierpniu osiemdziesiątego roku byłem kierownikiem takiego centrum teatralnego, powstałego przy Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, ja już jako absolwent tego Uniwersytetu i później jeszcze studiów podyplomowych dziennikarskich zostałem uznany przez ówczesnego rektora tego uniwersytetu, to był profesor Skrzydło, znany z tego, że zmienił konstytucję między innymi, ale nie wiem dlaczego mieli do mnie takie zaufanie, że powołano mnie na jakby twórcę tego centrum, które miało za zadanie jakby kontrolować, w pewien sposób nadzorować, podglądać, szpiegować głównie teatry studenckie, wówczas bardzo takie polityczne - Teatr Ósmego Dnia był tu liderem - a Lublin, Adam Michnik wtedy nazywał Atenami teatru alternatywnego, że tam właśnie się tworzy najwięcej. Był do tego jeszcze Leszek Mądzik na KUL-u ze swoją Sceną Plastyczną, więc to rzeczywiście w tamtych czasach było dość takie znaczące w środowisku akademickim, no i uznano, że potrzebna jest jakaś struktura, żeby to wszystko związać, no i uznano, że ja jestem świetnym wykonawcą zorganizowania tego w struktury takie organizacyjne, i to się stało, ja byłem etatowym pracownikiem uniwersytetu.

Justyna Skowronek: Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie?

Kazimierz Iwaszko: W Lublinie.

Justyna Skowronek: To pytanie kolejne, które chcę panu zadać, właściwie też nawiązuje do tego, co pan już powiedział, bo to jest pytanie o pana: czy wcześniej miał pan kontakty z nurtem działań niezależnych, budowanych w opozycji o PRL-u, do władz PRL-u, i tutaj chciałabym pana prosić o taką szeroką odpowiedź, bo interesowałaby nas przynależność do struktur opozycyjnych jeśli była, przekaz rodzinny albo na przykład korzenie rodzinne, które przeczyły oficjalnej historiografii PRL, o jakieś kontakty z niezależnym obiegiem wydawniczym, ruchem oazowym, duszpasterstwem, kontakty z Polakami pozostającymi na emigracji, z publikacjami, wydawnictwami, rozgłośniami polskimi na zachodzie albo inne. To jest bardzo ciekawe zagadnienie w tym momencie...

Kazimierz Iwaszko: Duży katalog...

Justyna Skowronek:...bo tu dziennikarstwo, tak że proszę spokojnie tak tutaj...

Kazimierz Iwaszko: Duży katalog, ja się w nim pod żadnym tytułem nie mieszczę, nie przynależałem do żadnych organizacji. Moje patriotyczne wychowanie to jest dom, a głównie brat mojej mamy, ksiądz Wacław Furman, który był wówczas wykładowcą akademickim i spotkania w domu moim rodzinnym, ja wtedy byłem na poziomie liceum ogólnokształcącego, pamiętam, że tam najwięcej w tych rozmowach rodzinnych dowiadywałem się, jak się zachować w tych dzisiejszych czasach, i to w zasadzie wszystko. Taki drobny incydent, ale to też przypadek, można by powiedzieć, że byłem nieświadomy jeszcze tego, to jest marzec sześćdziesiątego ósmego roku, tuż przed moją maturą, kiedy ja na lekcji języka polskiego tam coś wywołałem z Wolnej Europy, no i to tam jakoś zostało skwitowane przez naszego profesora polonistę tam, nie pamiętam czym, natomiast chyba gdzieś po tygodniu mój tata został wezwany do dyrektora tego liceum, przyzwoitego człowieka, który powiedział, że warto by, żeby tę maturę skończyć, żeby tu nie robić takich rzeczy, a ponieważ ja dostawałem jeszcze stypendium z liceum, więc mój tata powiedział: „Pamiętaj, z czego żyjesz i trzeba jakoś przeżyć” - ojcowskie rozsądne słowa - więc to jest to. Później zaczynam studia i jest już po marcu. W Lublinie akurat te marcowe środowisko rozpędzone miało swoje takie pewne zaczepienie na KUL-u i tam wiedziałem, że są grupy dyskutujące ciągle politycznie, co mnie bardzo interesowało, ale ja niestety nie byłem w tych grupach, ale zacząłem działać tam z takim jednym ze studentów KUL-owskich. Ponieważ był to czas, kiedy towarzysz Ciosek, jeszcze wówczas szef Zrzeszenia Studentów Polskich uważanych jak na tamte czasy pewnym wentylem takim politycznym likwiduje tę organizację i tworzy Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Z tego powodu w strukturach tamtych działaczy ZSP był jakiś mały bunt, do którego ja się także dołączyłem i tam nawet gdzieś w jakichś tam annałach widziałem, że zostałem zapisany jako ten, który się kładł krzyżem przed połączeniem, co jest nieprawdą, bo przecież nikt się nie kładł specjalnie, niemniej jednak środowisko KUL-owskie z tego ZSP wiem, że było jedynym głosem sprzeciwu w ramach tej nowej partii studenckiej, która powstała i która później jakby protestowałem w pewien sposób, a później zostałem w pewien sposób namaszczony przez tę organizację, bo to centrum, o którym wspominałem, było inspirowane przez Radę Okręgową chyba to się nazywało Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Te teatry korzystały z subwencji SZSP.

Justyna Skowronek: Czyli pan jako szef miał duży wpływ.

Kazimierz Iwaszko: Tak, i zostałem wybrano jako, nie wiem, czy tam było z czego wybierać czy też mnie uznano. Jestem pewien, że mnie uznano za swojego człowieka, bo później to wyszło nawet w lipcu, w tak zwanym lipcu lubelskim.

Justyna Skowronek: O właśnie...

Kazimierz Iwaszko: Lipiec lubelski, i wtedy to jakby się potwierdziło, że oni mnie traktowali bardzo poważnie jako swojego aktywistę, który jeszcze nie był w ich strukturach, ale gwarantował tam im jakąś tam odpowiedzialność, ponieważ szedł za mną ten dyplom z tego dziennikarstwa bardzo politycznego, to były dwuletnie studia dla różnych ludzi. Ja byłem tam swoistym takim spadochroniarzem, chciałem przedłużyć swoją młodość, a poza tym moja przyszła żona studiowała wtedy na iberystyce w Warszawie, więc uważałem, że przez studia będę bliżej narzeczonej. To był podstawowy motyw tych studiów, ale jak się okazało bardzo ciekawe było środowisko, bo na tych studiach było dużo osób, połowa z nich to byli ludzie, którzy chcieli mieć te papiery, żeby w strukturach tamtego dziennikarstwa się znaleźć. Część wiem, że była ubekami i robili sobie dodatkowe studia, żeby też awansować w swoich strukturach, a część była takich jak ja, bardzo ciekawych ludzi, z którymi wiem, że wtedy była sprawa krakowska Pyjasa, myśmy bardzo żywo dyskutowali. Pamiętam jak dziś takie spotkanie - nie pamiętam, jaki on przedmiot prowadził, to taki bardzo czerwony profesor, który był wtedy szefem Urzędu do spraw Wyznań. Jak on się nazywał? On miał zajęcia... Profesor Konkol on się chyba nazywał i to był ostatni chyba kierownik Urzędu do spraw Wyznań w tym skrzydle takim, bo chodziłem tam do niego po podpisy w indeksie przy pałacu prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu. No i to wszystko... Aha, czyli moje dojrzewanie polityczne miało taką...

Justyna Skowronek: A jak zareagowaliście jak on zaczął tak właśnie...

Kazimierz Iwaszko: Wiem, że wstając chciał na nas krzyknąć i przylepiało mu się do siedzenia krzesło, bo było gorąco chyba w tej sali i to krzesło mu odpadło od siedzenia i był taki huk, że ja się przeraziłem, że on do nas strzela.

Justyna Skowronek: O mój Boże.

Kazimierz Iwaszko: Że za takie pytanie.

Justyna Skowronek: Czyli [niezrozumiałe 00:09:14]. Tak, oczywiście, tak.

Kazimierz Iwaszko: W jego historii takie rzeczy się załatwiało w bardzo prosty sposób. To na przykład, ale w ogóle studia dla tej grupy takich jak ja były bardzo ciekawe. Były tam takie różne drobne incydenty, które uchodziły w sumie płazem, bo gdyby nas z tych studiów wyrzucili nic by nas to nie kosztowało - to znaczy dla mnie były one ważne, bo ja znów dostawałem stypendium jako student tych studiów i mogłem utrzymać, już się urodził po drodze syn w Warszawie, żona studentka i z mojego stypendium ja utrzymywałem rodzinę na tych studiach, więc one były pod tym względem znów bardzo potrzebne, natomiast do dyplomu niekoniecznie, zresztą nigdy z tego dyplomu nie skorzystałem. A in-

cydenty były takie ciekawe, że ja między innymi też byłem wysłany, tu akurat wybrałem sobie „Dziennik Bałtycki” na taką praktykę wakacyjną tamtych studiów i tam moja praktyka bez wyrazu, ale mój kolega, z którym w tej grupie między innymi tam przesiadywałem i dyskutowałem o tych sprawach politycznych, mogę wymienić nawet nazwisko, bo to nie jest tajemnicą, Marek Grzelewski, z Łodzi, pojechał do „Trybuna Robotnicza”, był taki dziennik w Łodzi - nie wiem, może i dzisiaj jest, na pewno inaczej się nazywa - do tej „Trybuny” na te wakacje, na tę praktykę. I w trakcie tej praktyki jego wystali, żeby napisać sprawozdanie z dożynek, chyba w Zduńskiej Woli gdzieś i tak dalej. Jemu się nie chciało jechać do tej Zduńskiej Woli i on napisał to sprawozdanie siedząc w domu i dał do redakcji, a okazało się, że dożynki zostały odwołane, no i w ten sposób wpadł jako niewiarygodny dziennikarz. Tam na tych studiach był chyba taki dwutygodnik, „Merkuriusz” się nazywał, gdzie my mieliśmy pisać trochę jako takie wprawki. To było normalne pismo, przez RSW prasa wydawana, był tam jakiś opiekun ze strony tego Instytutu Politycznego, i myśmy z tym Markiem uznali, że tam trzeba coś zaliczyć, że trzeba coś napisać, i też raz byliśmy, ale później to w sumie w domu pisaliśmy u mnie w akademiku, bo ja mieszkałem wtedy, to jeszcze akademik miałem, taki reportaż z Ursusa, i wiem, że to była jesień. Myśmy w tym Ursusie krótko byli, bo deszcz padał, no i napisaliśmy ten reportaż, co się dzieje w Ursusie do tego „Merkurusza”, a później tytuł, no bo ten reportaż może i był tam w środku mało ciekawy, ale tytuł wymyśliliśmy sobie „Czerwone błoto Ursusa” i zrobiliśmy taki tytuł do tej naszej dwustronicowej jakiejś tam takiej i daliśmy to do „Merkurusza”. Jaka awantura. Chyba nikt nie czytał dalej, tylko sam tytuł nas zdyskwalifikował. No i tam była jakaś dyskusja, że Grzelewski i Iwaszko to nie wiadomo, po co studiują, oni nic nie roszą, ale okazuje się, że ja dużo rokowałem, no bo po tych studiach dostałem zatrudnienie w Lublinie od razu, że tak powiem, więc nie musiałem się gdzieś tam tułać. Zatrudnienie bardzo ciekawe, no bo to i twórcze, musiałem stworzyć strukturę.

Justyna Skowronek: No ale tak jak pan wspominał, zadania, ale i oczekiwania.

Kazimierz Iwaszko: Tak. Mój etat był dość niski, a ja już mówię, miałem żonę i syna, no i ten Skrzydło, który zmienił tę konstytucję się rozczulił, czy ja za to utrzymam się, i mówię, że się nie utrzymam, to jest niemożliwe, no nie wiem, jak to będzie, więc on mi obiecał, że moją pensję będzie co jakiś czas powiększał o nagrody rektora, i to z tego wyszła później w Solidarności wielka sprawa polityczna, kiedy rozliczano tego Skrzydła, rektora z tamtych czasów, już Solidarność, w której ja byłem nota bene w strukturach Komisji Zakładowej, za to, że rozdawał nagrody byle komu i ja byłem w tej grupie, bo chyba trzy nagrody [dostałem]. Młody pracownik uniwersytetu, który w krótkim czasie, nie wiem, tam chyba w półtora roku trzy nagrody rektorskie dostał. I wiem, jak rektor Skrzydło na senacie, w którym byłem członkiem już później się tłumaczył i z trybuny wołał mnie: „Niech pan Iwaszko powie, za co dostawał te nagrody. To przecież wasz człowiek”, i ja znów wszedłem między młotem a kowadłem, bo z jednej strony byłem tutaj człowiekiem Skrzydła, z drugiej strony już Solidarność mi zaufała, no i takie całe moje życie rozdarte.

Justyna Skowronek: No ale ten 1980 rok był zupełnie inny niż lata poprzednie, coś się zaczęło właśnie tutaj, tak jak pan powiedział, zmieniać, nie? Był pan na początku tym człowiekiem, który miał spełnić pewne takie oczekiwania...

Kazimierz Iwaszko: I spełniałem.

Justyna Skowronek: A niech pan je nazwie, czyli jakie oczekiwania? Jak to dokładnie [było], co ta władza chciała po prostu osiągnąć? Czy to jakaś odwilż była, że te kontakty z KUL-em jednak, z tymi teatrami alternatywnymi?

Kazimierz Iwaszko: Tak, tak.

Justyna Skowronek: Co chciała ta władza osiągnąć, jak pan myśli?

Kazimierz Iwaszko: To jest młodzieżowa kariera pana Aleksandra Kwaśniewskiego, właśnie ten fragment trzeba poruszyć, który jako działacz partyjny był szefem tego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, który najpierw był chyba kierownikiem Wydziału Kultury, a później całej ten organizacji. I on mając zaufanie partii chciał jakby pokazać, że ten nasz obóz socjalistyczny ma taką wartość, że tutaj jest taka twórczość akademicka, bo istotnie fama była wtedy, twórczość akademicka istotnie istniała.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Jako ciekawostka: ta twórczość polityczna była cenzurowana, cała była cenzurowana, ale cenzura najbardziej dotykała piszących, śpiewających chyba mniej, ale też.

Justyna Skowronek: Oczywiście.

Kazimierz Iwaszko: I chodziło o to, żeby tę twórczość jakby kontrolować i były pozwolenia, na przykład w cenzurze, które to środowisko nagminnie wykorzystywało: mianowicie zapis cenzury w tamtych czasach istniał, na przykład że spotkania autorskie, przedstawienie teatralne może być robione bez cenzury jako wielki wentyl taki wolnościowy.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Ale musi to być przedstawienie czy jakaś tam twórczość zamknięta i posiadająca kontrolowaną listę widzów.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Imię i nazwisko i tak dalej, w teatrach to nazywali „przedstawienia zamknięte” i to się odbywało. Znam teatr, który tego nadużywał, przez to robił sobie niesamowitą reklamę, bo gdzieś tam szeptaną propagandą mówiono: „Idziemy na przedstawienie zamknięte” - jak zamknięte to musi być dobre, no i niektórzy niewiele z tego rozumieli, teatr to nadużywał, a teatr się nazywał Grupa Chwilowa z Lublina. Nota bene później jeździł po całej Francji jako też właśnie... no ale to jest właśnie ta twórczość, dzisiaj to bardzo wyraźnie widać, jeśli się namówimy, kogo lansować, to go wylansujemy, choć jak to Stanisław Michalkiewicz mówi: „Nie umie śpiewać jak przestają grać”, przy czym tam nie było wtedy medialnego splendoru dla takiego twórcy, tylko szeptany, co jeszcze było mocniejsze.

Justyna Skowronek: Ale był kapitałem okazuje się właśnie.

Kazimierz Iwaszko: Tak, był dużo mocniejszy, dużo mocniejszy. Jak się ktoś dowiadywał to był jakby w ciemno

przekonany, że ten chleb jest bombowy, smak jego jest nadzwyczajny, co było nieprawdą, no i ja w ogóle bardzo krytycznie po tylu latach oceniam tę swoją działalność w tym centrum. Nierzadko używam takiego określenia, to już później nawet i w Gdyni to się do mnie przylepiło jako tak zwany pożyteczny idiota, który nie miał świadomości...

Justyna Skowronek: A miał potrzebę życiową młody człowiek, prawda, dobre wyniki na studiach? Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: Na przykład, więc ja się nie wstydzę tego określenia.

Justyna Skowronek: Nie, nie.

Kazimierz Iwaszko: Niektórzy się obrażają. No i tak to życie to...

Justyna Skowronek: Ale to wszystko było przed tym właśnie...

Kazimierz Iwaszko: Przed sierpniem.

Justyna Skowronek: Przed sierpniem i lipcem nawet, nie?

Kazimierz Iwaszko: I przed lipcem.

Justyna Skowronek: Bo i lipcu pan myślę zaraz nam powie.

Kazimierz Iwaszko: I w tym centrum mamy te teatry polityczne z Teatrem Ósmego Dnia na czele, Aleksander Kwaśniewski, który jest kontrolerem tego w skali ogólnopolskiej, i w Gdyni dużo przed nami był taki znany reżyser, późniejszy znany, Andrzej Rozhin z Teatru Gong, który robił takie festiwale teatralne dla tych teatrów akademickich, naprawdę ciekawych niektórych, pod tytułem Lubelska Wiosna Teatralna. Kiedy ja to centrum już powołałem, no to chcieliśmy jakby kontynuować to, bo była dziura, kontynuować te festiwale, tylko inaczej oczywiście nazwane, żeby Rozhin został odcięty od tego. Każdy twórca chce coś niby od początku, a w rzeczywistości wiele rzeczy powiela. I myśmy wtedy wymyślili taki festiwal Konfrontacje Młodego Teatru i ten festiwal w całości był nadzorowany przez SZSP pod względem jakby merytorycznym powiedzmy, czyli kwalifikacja teatrów i przedstawień, no i tu zawsze z Aleksandrem Kwaśniewskim ja toczyłem wielki spór, kto do Lublina na ten doroczny festiwal ma przyjechać, jaki teatr, no i zawsze był największy problem z Teatrem Ósmego Dnia, więc był handel wiązany, że no to jak Teatr Ósmego Dnia to jakieś dwa teatry takie po linii i na bazie, jak na przykład Pstrąg z Łodzi i tam ktoś jeszcze z Wrocławia, z Krakowa, no i takim targiem dochodziliśmy do tego porozumienia, jakie to są teatry. Repertuar był znany, no bo oni mieli tam przedstawienie, które grali tam przez cały rok, więc to było proste. No i ten festiwal się tak w Lublinie odbywał w tych bardzo trudnych czasach, bo to przyjeżdżało ze 300 osób na ten festiwal tych twórców studenckich - trzeba było ich zakwaterować, te przedstawienia tam przez trzy-cztery dni były grane w różnych miejscach, więc to była pewna logistyczna. Wtedy się nie używało pojęcia żadnej logistyki, no trzeba zorganizować i myśmy to organizowali, była zawsze duża grupa takich społeczników-studentów, wolontariuszy, którzy mieli zaszczyt otrzeć się o twórców już

znanych w całej Polsce. Dzisiaj to brzmi dla mnie trochę śmiesznie, wtedy też się wczuwałem w tę rolę, jak na przykład już świętej pamięci Lech Raczak jako szef Teatru Ósmego Dnia potrafił mi wydawać rozkazy, co mu się należy, a Ewa Wójciak, prawa jego ręka wtedy, używała nawet przekleństw, że ja jestem do ich usług - zostali zaproszeni, więc... a był to na przykład kryzys ostatni, ten osiemdziesiąty rok, benzyny, a oni przyjeżdżali często z dekoracjami swoimi jakimś transportem. Załatwić benzynę na festiwalu to sztuka, ale jakoś się wszystko udawało. Przyjeżdżały teatry zagraniczne też z ciekawymi rzeczami, które były pewnymi wydarzeniami politycznymi. Pamiętam jak dziś taki teatr szwedzki, który miał takie dziwne przedstawienie, nie pamiętam, w którym to roku było - polegało ono na tym, że chyba pięciu czy sześciu aktorów, tych szwedzkich studentów, było obandażowanych i bandaż był poplamiony farbą jak zakrwawiony, i ich przedstawienie polegało na tym, że tam z chatki żaka, gdzie było to centrum, wychodzili przez centrum na Krakowskie Przedmieście i szli, i nic więcej się nie działo. Oczywiście dochodzili tam do ulicy, nie wiem, Lipowej, kiedy policja tajna ich wszystkich związała i się na tym kończyło przedstawienie i oni nic nie musieli mówić, tylko się obandażować i tak dalej. Oczywiście później do mnie zwykle pytali, czy ja widziałem to przedstawienie, mówię: „No nie widziałem, bo nie byłem w Szwecji”, ale tam zawsze się jakoś musiałem wymigać, że miałem dobre recenzje, a to z tego „itd”, takie „itd” było pismo, później Kwaśniewski nawet był redaktorem naczelnym i mnie jeszcze obsmarowywał później w stanie wojennym, ale dobrze. A epizod z Aleksandrem Kwaśniewskim był taki, że on przyjechał tam z jakąś świtą swoich dwóch jeszcze aktywistów na ten Festiwal Lubelski, przyjechał ze świtą, no i ja tam dostawałem jakiś budżet, a oni się zakwaterowali bez mojej wiedzy i zgody, bo nie musieli mieć tej zgody, w najlepszym hoteli, Unia się nazywał, nie Lubelska, Unia, Hotel Unia, niedaleko nota bene tego Centrum Teatralnego i chyba po czterech dniach przynieśli mi fakturę do uregulowania przelewem. Ja mówię: „Olek, ale ja nie mam takiego... w preliminarzu nie ma takich wydatków”. „A co mnie to obchodzi?”, no i krótko. Ale za ten rachunek udało nam się, między innymi Teatr Ósmego Dnia wtedy nie miał zgody cenzury nie pamiętam na jakie, na przecenę, „Przecena dla wszystkich”, chyba było takie przedstawienie, a Olek był na tym festiwalu i zgodził się, żebyśmy to na festiwalu pokazali jako przedstawienie zamknięte, a wymyśliliśmy dużą salę, gdzie wpakowaliśmy ponad sto osób, więc oszukaliśmy Olka, że on myślał, że zamknięte, to tam paru tamtych swoich niech już będzie. Oszukaliśmy go, wykiwaliśmy, byliśmy mądrzejsi, i on po tym przedstawieniu był bardzo zainteresowany, czy ja sporządziłem listę uczestników tego przedstawienia, widzów. Istotnie, sporządziliśmy, i on tę listę zabrał i ona do dzisiaj do mnie nie trafiła. Nota bene ona mi do niczego nie była potrzebna, ale ja to zawsze powtarzałem w tym środowisku: „Patrzcie, jakie on ma ciągoty ubeckie - »Daj nazwisko, bo się przyda«”.

Justyna Skowronek: Tak, kontrola.

Kazimierz Iwaszko: I tu miał na piśmie tę listę. Oczywiście Ewa Wójciak później mnie bardzo zrugowała z ogromnymi przekleśniętami, że ja dałem listę. - „Dlaczego dałeś listę? Po co tu jesteś? Przecież masz tutaj nas ochraniać”. No i tak robiłem to przez parę lat. To centrum słynęło z tego, oprócz tego wprowadziliśmy wtedy, to dzisiaj jest takie modne - myśmy to wtedy nazywali „publicystyka kulturalna”, czyli spotkania z ciekawymi ludźmi, no co to wielkiego jest? A ponieważ w tym centrum była profesjonalna sala teatralna, duża, na 300 osób, to te spotkania były bardzo objętościowe, takie bardzo powszechne, i zaczynaliśmy od spotkań z lokalnymi tam jakimś profesorami takimi, którzy potrafili coś najpierw bardzo ogólnie powiedzieć, ale później były i spotkania z Adamem Michnikiem, to już po sierpniu, kiedy sala trzeszczała w szwach, czy tam z jakimś prokuratorem. Pamiętam dwa takie czy trzy spotkania,

kiedy ja się strasznie bałem o bezpieczeństwo ludzi, bo było ich dużo, a myśmy tam nie mieli strażaków, tam jakichś na scenie dwóch pracowników technicznych robiło za strażaków, więc to wszystko było na granicy bezpieczeństwa, bo tam przepisy to osobny temat. No ale później ta scena niedoinwestowana powiedzmy, choć ona nie musiała być doinwestowana, bo ona była wystarczająca, w stanie wojennym służyła na przykład za przechowywanie różnych książek podziemnych, różnych pism podziemnych. Na scenie było dużo skrytek i nota bene było dużo ciekawych książek, dlatego że jak te teatry zaczęły jeździć po zachodzie to z każdego wyjazdu przywozili literaturę, no głównie Kultura Paryska, i myśmy mieli taką nieformalną biblioteczkę tych książek, a ja byłem jakby bibliotekarzem, kustoszem, bo musiałem je schować. Oczywiście później też byłem rozliczany, bo one ginęły, no jaka kontrola nad tym? Ale część została i w stanie wojennym ktoś zadenuncjował, bo mnie już tam nie było, kiedy przyszli ubecy i wiedzieli, w której skrytce to jest od razu, przecież wszystko zabrali. Podejrzewam, że niewykluczone, że do własnego domu, aby poczytać, co się może i chwali, bo gdyby zginęły te książki, nie wiem, spaliły się, to by mniejszą wartość miały, a tak, no, niech im będzie.

Justyna Skowronek: Znajdą się, nie spłonęły.

Kazimierz Iwaszko: Zresztą ja z ubekami, taki kapitan Gwiazda się nazywał, który nas nadzorował, chyba miał taki etat. Bardzo dobrze żyłem. On przychodził często i kazał mi dać wejściówkę na przedstawienie, bo go interesuje, i ode mnie dostawał taką wejściówkę bez targów. Ja z nim bardzo dobrze żyłem. Pamiętam, strasznie był markotny, bo zawsze był wesoły, dowcipny w rozmowach - był bardzo markotny kiedy był czerwiec radomski, bo widocznie wysyłali go na nocne dyżury, a on był gruby i było mu ciężko na tych dyżurach. Tak myślę, że głównie z tego powodu, że nie może pojechać tam gdzieś nad jezioro.

Justyna Skowronek: Pan z humorem tutaj do tego podchodzi, ale Lublin, KUL był takim szczególnym miejscem na mapie tego PRL-u właśnie i tutaj z pana opowieści tu wychodzi, że to był wentyl, tak? Że tam była ta wolność, pozwalano na te pewne przejawy wolności, no ale z drugiej strony...

Kazimierz Iwaszko: To prawda.

Justyna Skowronek:...bardzo [niezrozumiałe 00:27:43], to jest ten mechanizm taki, nie wiem...

Kazimierz Iwaszko: Jak się okazuje, był...

Justyna Skowronek:...czy władza liczyła na tę kooptację, że uda się po prostu...

Kazimierz Iwaszko: No miała jakąś swoją politykę. Jak dzisiaj wiemy...

Justyna Skowronek: Na pewno nie przewidywała tego sierpnia pewnie.

Kazimierz Iwaszko: No tak, tak. Jak dzisiaj wiemy, KUL był najbardziej inwigilowany, najwięcej tajnych współpracowników tam było, łącznie z rektorem na czele, ojcem Krąpcem.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Do którego ja miałem wielki szacunek, bo akurat ja trochę studiowałem też na KUL-u i miałem z nim zajęcia. Istotnie, wentyl KUL-u w tamtych czasach dla mnie polegał na tym, że tam było sporo wykładów zaprzyjaźnionych profesorów, wykładowców z zachodnich uniwersytetów, to był dla mnie ten wentyl. Ja nie znałem środowiska spotkań drukarzy z tego kręgu osobiście, aczkolwiek wiedziałem, że są później drukowane spotkania, natomiast dostęp jakby powszechny był do tych wykładów, bo te wykłady były otwarte. Przyjeżdżali wykładowcy tam z Louvain z uniwersytetu, no głównie z Louvain, z katolickich uniwersytetów, oni byli zaprzyjaźnieni i te wykłady były otwarte. No jak dziś pamiętam: ta aula ich, KUL-owska, stara aula, bo dzisiaj to jest amerykańska, która, nie wiem, ze 200 krzeseł miała, prosta, płaska sala, ona była nabitą, tam się siedziało na podłodze, żeby posłuchać profesora tam z filozofii. Niewykluczone, że dużo takich jak ja nic z tego nie rozumiało, bo ja istotnie niewiele rozumiałem z tych wykładów. One były tłumaczone, ale poziom ich był tak dla mnie wysoki, ale było warto się tam pokazać.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: To tak jak dzisiaj się chodzi gdzieś tam, nie wiem, do kawiarni, gdzie się spotyka jakaś grupa celebrytów, tam się warto pokazać, to moja córka w Warszawie zawsze mówi, gdzie ja mam iść.

Justyna Skowronek: Ale to chyba jednak... bo pan chyba z dzisiejszej perspektywy [uważa], że to były spotkania jednak wartościowe, no to w sensie...

Kazimierz Iwaszko: Tak, to był ten dla mnie wentyl, to był wentyl.

Justyna Skowronek: No właśnie, tak.

Kazimierz Iwaszko: Ja na przykład w tamtych czasach, już jak nawet w tym centrum pracowałem, nic nie wiedziałem w zasadzie o Borusewiczu, ale kiedy się ujawniałem w Gdyni przed ubekami w osiemdziesiątym drugim roku to pierwsze pytanie od ubeka: czy ja miałem kontakt z Borusewiczem.

Justyna Skowronek: Z Borusewiczem, tak.

Kazimierz Iwaszko: No bo jestem z Lublina.

Justyna Skowronek: No oczywiście.

Kazimierz Iwaszko: I odpowiedziałem szczerze, bo nigdy go nie widziałem w Lublinie i go nie znałem, czyli to była ta grupa, na którą miano oko i tak dalej, plus wielkie środowisko tych spotkań, pisma i tak dalej. UMCS jakby był z boku, zresztą został powołany po to, żeby był przeciwwagą i w zasadzie od początku swojego powołania tylko się przyglądał, co na uniwersytecie trzeba robić, na KUL. Ja pamiętam, jak zacząłem studiować na KUL-u psychologię

i tam wcześniej miałem na UMCS-ie logikę chyba z takim doktorem Kojem, on się nazywał, dobrze mówię, ale on jako świeży doktor dostał lepszy etat na UMCS-ie i dlatego pracował na UMCS-ie. Tam nie wiem kto na KUL-u miał logikę, no ale ktoś z tego środowiska, Krąpiec, Kamiński, siostra Zdybicka, no gdzieś ktoś tu, bo to takie żelazne nazwiska. Jak zobaczył, że mam trójkę, chyba trójkę od tego Kojka, mówi: „O, to dobrze. To masz zaliczone, bo to swój człowiek”, no bo on z KUL-u.

Justyna Skowronek: Ja wiem, rozumiem, tak.

Kazimierz Iwaszko: Bo gdyby tam jakiś logik, który się świeżo urodził to przez KUL-owca byłby nieuznawany, no ale to takie ciekawostki w sumie. No i to był ten cały wentyl, który później ja bardzo negatywnie oceniłem, bo 13 grudnia przyleciałem do pracy jakby w środku nocy, kiedy były pierwsze aresztowania, o czym powiadomił mnie taki zaprzyjaźniony student, tam nie wiem, piątego roku prawa, więc ja poleciałem do tej Chatki Żaka, która była tym ośrodkiem z tymi salami teatralnymi i tak dalej, i tam przygotowaliśmy tak w zasadzie na stojąco takie pierwsze ulotki z tego, co nam z miasta przynoszono, co się dzieje w mieście, takie pierwsze ulotki, i to było później, 14 [grudnia] to była niedziela i uznaliśmy, że te ulotki wydrukowane na Kwaśniewskiego Aleksandra powielaczu, bo to jest też ciekawa historia z tym powielaczem. Chyba czterech-pięciu studentów poszło pod KUL, bo to jest blisko Chatki Żaka, tam jest kościół i msze od siódmej rano w niedziele, żeby tam rozdawać ludziom, i tam ktoś z administracji KUL-owskiej ich po prostu beczelnie wypędził, powiedział: „Won! Doprowadzicie do tego, że KUL ma zginąć” - tak mniej więcej cytuję. I oni przyszli do mnie strasznie załamani, że tutaj nie ma żadnego oparcia, co robić, z kim się można jeszcze zadawać, czy to już koniec, czy nie koniec.

Justyna Skowronek: Byli przerażeni.

Kazimierz Iwaszko: No ale te ulotki gdzieś tam rozdali, a myśmy jeszcze wtedy też nieświadomi represji, jakie ze stanu wojennego mogłyby wyniknąć, będą wynikać później, to całe nagłośnienie, jakie mieliśmy na sali teatralnej, wystawiliśmy taki balkon, głośniki, i uruchomiliśmy taki pseudoradiowęzeł.

Justyna Skowronek: Już po wprowadzeniu rygorów stanu wojennego?

Kazimierz Iwaszko: Tak, to była niedziela, 14 [grudnia].

Justyna Skowronek: Po dekreście, tak?

Kazimierz Iwaszko: I ponieważ tam przez całą noc siedziałem zaczęliśmy te audycje trochę na złość, komunikaty nadawać, a to było o tyle ciekawe, że ten balkon był na ulicę, przez którą szli, wszyscy musieli przejść do kościoła KUL-owskiego, a w tych komunikatach było mniej więcej to samo, co w tych ulotkach, więc tutaj nam KUL nie pozwolił rozdawać ulotek, ale myśmy...

Justyna Skowronek: Komunikaty tak, miały jeszcze większą...

Kazimierz Iwaszko: Lepiej dotarli, bo przecież niektórzy by się bali brać tych ulotek, no ale to na wesoło trzeba potraktować.

Justyna Skowronek: Czyli poszło w eter, tak.

Kazimierz Iwaszko: A te ulotki właśnie zostały wydrukowane gdzieś chyba po północy 13 [grudnia] już z tymi studentami w sposób taki też nadzwyczajny. Socjalistyczny Związek Studentów Polskich Uniwersytetu gdzieś chyba miesiąc przed stanem wojennym, o czym ja wiedziałem, dostał z rady tej naczelnej, czyli od Kwaśniewskiego, zakup w postaci bardzo nowoczesnego takiego powielacza, czeskiego, czeskiej firmy, bardzo wydajnego i tak dalej, i myśmy wiedzieli, że taka maszyna u nich jest, myśmy tam różnymi starymi metodami [pracowali] i tego 13 [grudnia] oprócz tych czterech studentów moich jakby zaufanych pojawił się jeden z działaczy od tego powielacza, bardzo przejęty. Ja nie wiem, jak on się nazywa - znaczy wiedziałem, tylko [zapomniałem], on mnie znał dobrze, no bo to ten sam budynek, gdzie oni mieli swoje biuro - jak on może pomóc w tym, co my tutaj wymyślamy w proteście. Ja mówię: „W bardzo prosty sposób. Idź i przynieś powielacz na scenę do sali teatralnej”, i on to zrobić i ten powielacz do dzisiaj jakby tam został, bo ja nie wiem, co się z nim stało, ale on służył cały czas w stanie wojennym dla drukowania biuletynu regionalnego tej grupy studentów, która przy tym powielaczu była, wiedziała i tak dalej. On później tam zmieniał, wiem, że różne miejsca. Nota bene jak ja musiałem dokładnie 17 grudnia jakby już nie wracać do domu, tylko... no, to się tak dzisiaj nazywa „ukrywanie”, choć to śmieszna nazwa, bo ja się specjalnie nie ukrywałem, aczkolwiek w domu nie nocowałem. No, ukrywałem się i wiem, że takich dwóch moich zaprzyjaźnionych, w tym jeden współpracownik etatowy z tego centrum, Krzysiu Hariasz, który dzisiaj jest na emigracji w Stanach Zjednoczonych, dowiedzieli się, gdzie, w którym bloku ja od tygodnia przebywam, a blok był taki, że był taki długi, więzienny korytarz i chyba z dwadzieścia mieszkań lewa, prawa strona, i ja tam w jednym z mieszkań u takiej pani przebywałem. I oni przyszli w dzień któregoś dnia po 17 grudnia, nie pamiętam kiedy, ale gdzieś to już było grubo pod koniec grudnia, i na tym korytarzu, wiedzieli, które to mieszkanie ja zajmuję, a ja nie miałem kluczy w ogóle, żeby ich wpuścić, i oni przez drzwi ze mną rozmawiali: „Kazik, powiedz, gdzie jest ten powielacz, bo jest im niezbędny”, a ja im odpowiadałem, że nie wiem, a oni nie wierzyli, że ja mogę nie wiedzieć, gdzie jest taka cudowna maszyna, która tutaj trzyma całą Polskę przy życiu.

Justyna Skowronek: A, wtedy tak, jedyna.

Kazimierz Iwaszko: Pogadaliśmy sobie, ja później, jak oni poszli, myślę: Boże, przecież tu wszyscy na korytarzu wszystko słyszeli.

Justyna Skowronek: Tak, konspiracja.

Kazimierz Iwaszko: Myślę: no to albo za godzinę przyjdą albo nie wiem, o północy, i myślę...

Justyna Skowronek: Tak, trudno sobie [wyobrazić].

Kazimierz Iwaszko:...wiele mi nie zrobią, ale szkoda mi tej pani.

Justyna Skowronek: Ale to była groza stanu wojennego.

Kazimierz Iwaszko: Bo jeśli przyjdą ubecy, a ja im powiem: „Ja nie mam klucza, nie mogę [otworzyć drzwi]”, bo ona mnie zamykała na klucz to wyłamią drzwi.

Justyna Skowronek: Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: Narażę panią na potężne straty i tak dalej, było mi strasznie głupio. Chłopcy mi tam później po drodze opowiadali, że dowiedzieli się, gdzie jest ten powielacz przejściowo głęboko schowany, bo nie było komu drukować, więc został cennie schowany i miał swoją historię. Tak że Olek Kwaśniewski przyczynił się tak, że... I mamy lipiec.

Justyna Skowronek: I mamy lipiec właśnie w Lublinie, bo to jest też...

Kazimierz Iwaszko: I mamy lipiec i mamy mojego brata starszego o dwa lata, który pracuje na kolei, jest robotnikiem wykwalifikowanym i często do Chatki Żaka, czyli do tych teatrów przychodzi, bo to ciekawe dla niego, inny świat zupełnie. Czyli po robocie często przychodzi, z niektórymi gra w karty, w pokera, sporo palą papierosów i sporo piją wódki, więc to jest grubo przed lipcem.

Justyna Skowronek: Brat?

Kazimierz Iwaszko: Mój brat, Janusz Iwaszko.

Justyna Skowronek: Brat bywa, tak? W Chatce Żaka często.

Kazimierz Iwaszko: Ale tam sobie przebywa, nobilituje się przez środowisko kolejarz i nic z tego specjalnie nie wynika, aczkolwiek uważnie słucha, co kto przyniesie, wydarzenia typu Pyjas bardzo...

Justyna Skowronek: Są dyskutowane?

Kazimierz Iwaszko: Tak, ekscytują. Tu w Lublinie my specjalnie nie znamy jakichś represji takich, które by dotyczyły ludzi, no i pojawia się początek lipca, nie wiem, 8 lipca, że w Lublinie wybuchają strajki.

Justyna Skowronek: No właśnie.

Kazimierz Iwaszko: Wybuchają te strajki, które paraliżują miasto. Jesteśmy my w tej Chatce Żaka - znów wracam do siebie - oniemiała, co się stało, że w tak szybki sposób się zorganizowało to środowisko, komunikacja miejska, nie trzeba by wyłączać prądu, tak jak dla Krzywonos w Gdańsku, staje na rozkaz takiego przywódcy wówczas. On później był szefem pierwszym Solidarności regionalnej, Barczak się chyba nazywał. Ta komunikacja miejska staje

na rozkaz, no i jesteśmy sami zaskoczeni tym, co się dzieje. No i przychodzi ten mój brat, robotnik, kiedyś tam któregoś dnia, nie wiem, koło 15 lipca, bo strajki lipcowe w sumie pokazały fenomen organizacyjny środowiska robotniczego, do którego bardzo szybko dołączyli także niektórzy z uniwersytetu, i nic więcej. Postulaty tam były o chleb i wodę, tam były takie o kotlet, o kotlet, tak.

Justyna Skowronek: Tak, tak, i były obietnice, tak? Typowa praktyka wygaszania.

Kazimierz Iwaszko: Tak. I one się kończyły, no ale mówię, fenomen organizacyjny.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Akurat chyba wtedy Gierek przyjeżdża z miasta PKWN z Chełma Lubelskiego przez Lublin i podobno ktoś tam takie plotki opowiadał, że w ogóle do Komitetu Wojewódzkiego nie wstąpił i odwracał głowę jak przejeżdżał przez Lublin, żeby nie widzieć tego miasta, ale też był obezwładniony tym wszystkim.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: No i gdzieś koło 15 lipca przychodzi ten mój brat Janusz znów, no i tam była jakaś większa grupa tych moich współpracowników różnych, zaprzyjaźnionych osób, gdzie siedzieliśmy, być może i było jakieś pół litra, bo wtedy się odbywało w zasadzie... No, dzisiaj to przy piwie, kiedyś była dużo zdrowsza ta wódka, różnego pochodzenia pokątnego. I my zaczynamy się śmiać z kolejarzy, że cały Lublin, już wszystkie te zakłady, tylko kolej nie brała udziału. No i on tam poszedł, nie wiem, czy się przejął, tam po pół litrze to się specjalnie chyba nie przejmował tym, i jak grom z nieba spada wiadomość chyba dwa dni później, to był 16 lipiec, to IPN ustali sobie daty, że staje cały węzeł kolejowy w Lublinie, a na czele strajku staje taki Czesław Niezgoda, a jego zastępcą jest Janusz Iwaszko, czyli mój brat, zwyczajnie powiedziałbym, też przypadek chyba. No Czesiek Niezgoda, jak się później okazało, że miał do czynienia tam z jakimi ulotkami KOR-owskimi, czyli jakby był taki...

Justyna Skowronek: Tak, kontakty wcześniejsze.

Kazimierz Iwaszko:...wyedukowany, natomiast mój brat Janusz specjalnie nie musiał nic czytać, bo wszystko słyszał - znaczy nie wiem, co usłyszał, czy potrafił to wszystko jakoś tam połączyć. No i ten strajk stoi, chyba drugi dzień tego strajku, ja jestem w pracy u siebie w tej Chatce Żaka w biurze i taki prorektor, Antoni Pieniążek się nazywał, ja pod niego z tym centrum w strukturze podlegałem, zadzwonił do mnie i czy ja bym się spotkał z pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego Partii, chyba Andrzej Szprengiel się on tak nazywał, u siebie w biurze. Ja mówię: „No dobrze, no to jak partia każe” no to Boże, co tu tutaj [robić]? No i o której, no i ja mówię: „No dobra, to już, później”. Nie wiem, była godzina tan czternasta-piętnasta, i przyjechał ten Andrzej Szprengiel, którego ja tam znałem z gazet... Celem spotkania było to, że mając do mnie wielkie zaufanie ja mam pojechać...

Justyna Skowronek: Do brata?

Kazimierz Iwaszko: ...do brata powiedzieć mu, co on robi i do czego to prowadzi i co pomyśli, jak się dowie nasza mama pod Lublinem, że tu brat rozwala Polskę, która nas wychowała, wykształciła. To prawda, że żyliśmy ze stypendiów państwowych.

Justyna Skowronek: Ale jaki był ton tej rozmowy, taki ton pogróżek?

Kazimierz Iwaszko: Grzeczny.

Justyna Skowronek: Grzeczny?

Kazimierz Iwaszko: Grzeczny, mogłem odmówić. Przy okazji się dowiedział, że ja nie jestem jeszcze członkiem partii, ale przecież mają do mnie takie zaufanie, więc trzeba by pomyśleć nad swoją przyszłością. No i tak pogadałiśmy, pogadaliśmy, i ja powiedziałem: „Ale gdzie ja tam pojedę? Ja nie wiem, gdzie jest ten Komitet Strajkowy, gdzie on siedzi. Ja nie znam tego węzła, gdzie, co i jak”. „Nie martw się, my ci w tym pomożemy. Przyjedzie po ciebie samochód - nie wiem, wiem, że to było tak głęboko popołudniu już - my ci pomożemy, dostaniesz się tam” i ten. No i rzeczywiście przyjechał ten fiat 125, luksusowy samochód, z szoferem, który mnie tam podwiózł pod ten, no i ja tak zupełnie zdezorientowany, w którą stronę iść. Dworzec kolejowy, lokomotywowy to nie jest stocznia, ma bramę jakąś, gdzie się wchodzi, wychodzi się tam.

Justyna Skowronek: A tam wszędzie lokomotywy, wagony.

Kazimierz Iwaszko: Wszędzie, wszystko stoi.

Justyna Skowronek: I wszystko stoi.

Kazimierz Iwaszko: Wszystko stoi i jak przejść przez tory, bo cały węzeł od tam przed Lublinem, wszystkie pociągi zostały wpakowane w jedno miejsce. Barykada nie do pokonania.

[niezrozumiałe 00:44:53].

Kazimierz Iwaszko: Jakby z lądu, tylko z powietrza.

Justyna Skowronek: Tak, tak, strategicznie niesamowita zupełnie rzecz.

Kazimierz Iwaszko: Tak, tak. No i też chyba jakiś przypadek, że tam spotkałem jakiegoś takiego kolejarza i mówię, że szukam Janusza Iwaszko, a okazało się, że on go dobrze zna. „A kim ty jesteś?”, ja mówię: „No jestem bratem. Mam ci pokazywać dowód?”. „Nie, nie, dobra”, i on poszedł i tego Janusza Iwaszko przyprowadził do mnie. Myśmy tam na peronie takim bocznym nieczynnym jakimś usiedli, powiedziałem mu, po co ja tu przyjechałem, z jaką misją, no i Janusz w zasadzie był w takim kłopotcie, że moja misja będzie niczym i...

Justyna Skowronek: Ale pan powiedział, że po prostu został pan jakby zaprogramowany...

Kazimierz Iwaszko: Tak, tak, ja wszystko całą rozmowę z pierwszym sekretarzem.

Justyna Skowronek: Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: I on wyrażał takie najbardziej zaniepokojenie, że to ja ucierpię, bo niczego nie wskóram, a wrócę do domu i mnie rozliczą.

Justyna Skowronek: No tak.

Kazimierz Iwaszko: A nota bene w domu jestem sam, ponieważ moja żona z małym synem Borysem wyjechała na wakacje do Gdyni, na wakacje, no i bardzo ucierpi, no i też brałem to pod uwagę, że partia lubi się zemścić.

Justyna Skowronek: Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: Choć nie wiem za co, no podjąłem się szczytnego celu łamistrajka. I wymyśliliśmy z Januszem taki, no powiedziałbym gryps więzienny, że on dzisiaj w nocy chowa się, tak jakby nie był w Komitecie Strajkowym. „Musisz kogoś innego wyznaczyć - bo oni tam mieli dyżury, że śpią po dziesięć godzin - że ciebie nie ma, i puść plotkę, że ty rezygnujesz z komitetu, jesteś zmęczony, nie masz siły fizycznej dalej w tym Komitecie Strajkowym działać, i zrób to, jak możesz, nie wiem, jak możesz, a ja wracam do domu”, i się na tym skończyło. To już był późny wieczór i tak było mi głupio, że ten fiat tam czeka w takiej bocznej ulicy, ale jakoś o nim, tym fiacie zapomniałem, aczkolwiek później się szoferowi tłumaczyłem, że to trwało trochę za długo, że bardzo go przepraszam, ale to duży teren, musiałem szukać, no i jakoś to tam się skończyło. Nigdy nie musiałem składać sprawozdania z tej swojej pseudomisji, nikt mnie z tego powodu później nie pytał, nie rozliczał, nic. Strajk oczywiście się zakończył i nie z mojego powodu, tylko w sposób naturalny, i to był chyba jedyny strajk, który się zakończył postulatem politycznym w tym lipcu lubelskim, mianowicie takim, że oni wywalczyli oprócz tych kotletów, że Rada Zakładowa - jakie były to rady w tych zakładach pracy, w przypadku węzła lubelskiego będzie miała nowe i demokratyczne wybory, czyli się w strukturach nic nie zmienia, ale my będziemy mieli prawo...

Justyna Skowronek: Ludzi nowych tutaj, tak. Wprowadzamy nowych ludzi.

Kazimierz Iwaszko: Tak. To był jedyny postulat taki polityczny. No i to jest koniec lipca, moja żona nadal jest w Gdyni na wakacjach. No i przychodzi sierpień i strajki w stoczni, czyli na wybrzeżu. Ja znam z Wolnej Europy, z jakichś takich drobnych podróży, kto wracał z wybrzeża. Moja żona niewiele mi mogła opowiedzieć, co się dzieje w stoczni.

Justyna Skowronek: No bo z małym dzieckiem.

Kazimierz Iwaszko: Nie dlatego - między innymi, ale dlatego, że po prostu emocjonalnie była obojętna wobec tego, a może nawet i przerażona, dlatego że jej stryjek, Brunon Drywa, został zastrzelony w siedemdziesiątym roku.

Justyna Skowronek: O mój Boże, no tak.

Kazimierz Iwaszko: I kiedy ja się dowiedziałem o tym i się wżeniłem w rodzinę Drywów to przez długi czas jego brat, Leon Drywa, już nie żyje, nie chciał mi nic powiedzieć o grudniu w Gdyni. Byli tak przerażeni tymi dniami, pogrzebem brata i tak dalej, że ten...

Justyna Skowronek: Akcjami esbeckimi później...

Kazimierz Iwaszko: Do mnie nie mieli zaufania...

Justyna Skowronek: Ja rozumiem.

Kazimierz Iwaszko:...ze wschodu, więc musiałem długo czekać, kiedy mi zaczęto opowiadać rodzinną historię tragiczną.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: I myślę, że to także miało wpływ na to, że rodzina mojej żony, a ona w tym czasie jest na wakacjach, nie angażuje się.

Justyna Skowronek: Ta lekcja grudnia, tak.

Kazimierz Iwaszko: Nie angażuje się w nic, nie chce słyszeć, nie chce widzieć.

Justyna Skowronek: Tak, ta krwawa lekcja grudnia.

Kazimierz Iwaszko: Tak że ja od żony w telefonach niewiele się dowiaduję oprócz tego, że jest im dobrze, chodzą na spacer, czasem gdzieś tam na plażę gdyńską, no i w sklepach co nieco jest. „A co, ty tam w Lublinie masz coś?”, ja mówię: „Tak, przyjechał Janusz i przywiózł mi ze wsi, to, tamto - mówię - chętnie bym wam to przekazał”, tak że mówię, nie ma problemu. I tak to się toczyło. No i ten sierpień już później z finałem swoim, no to dociera do nas jako wielki sukces - nie nasz, ale wtedy pamiętam, była taka myśl, żeby jakoś te teatry robotnikom wynagrodziły ten sukces.

Justyna Skowronek: Ale one się pojawiały tutaj przecież, tak.

Kazimierz Iwaszko: Tak, i wymyśliliśmy później, jak przyszło do odświeżenia pomnika.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: Przed Gdańską Stoczną, to tutaj w środowisku gdańskim był wówczas taki mocny teatr polityczny, nazywał się Jedyńka, Krzysztof Babicki i spółka, powiedzmy, była, Leszek Niedałowicz z Krzysztofem Nie-

dałtowski, to jest trzon tego teatru. On był bardzo ostry politycznie i myśmy się z nim znali w Lublinie, że ta Jedyńka wymyśliła i zaprosiła mnie z Lublina jako to Centrum Teatralne, czyli fachowców, żeby przy odsłonięciu pomnika zrobić taki mały festiwalik, nazywało się to Teatr Studencki Robotnikom. I tutaj na dwa dni chyba przed odsłonięciem pomnika przyjechała ta elita teatralna, Teatr Ósmego Dnia, Prowizorium, Jedyńka i w różnych salach w Gdańsku były przedstawienia, i to jakby było takie zadośćuczynienie tym myślom, że myśmy się nie przyczynili do sierpnia jako środowisko, aczkolwiek niektórzy powiedzą, że wszystkie przedstawienia przedsierpniowe tych znaczących teatrów były jak najbardziej polityczne i antykomunistyczne.

Justyna Skowronek: Tak, tak. Kształtowały jakąś tam świadomość, refleksję.

Kazimierz Iwaszko: No ale jak się później okazuje to nawet profesorowie kształtujący tę świadomość upadli na twarz, bo Teatr Ósmego Dnia, dzisiaj jak ktoś wie, no to jest po drugiej stronie barykady.

Justyna Skowronek: No tak.

Kazimierz Iwaszko: Cały stan wojenny i późniejsze lata spędził we Włoszech, czyli jakby na naszych plecach zrobił sobie renomę międzynarodową, cały kryzys stanu wojennego i ekonomiczny przeżył w luksusowych warunkach i - o, paradoks - do Polski wjeżdżał już po osiemdziesiątym dziewiątym roku ostatnim swoim przedstawieniem w Moskwie, Teatr Ósmego Dnia przyjechał do wolnej Polski z Moskwy. I później jakby ten moskiewski epizod w sumie, no bo pokazali tam jeden czy dwa [przedstawienia], ciągnie się do dzisiaj, to jest największa klęska.

Justyna Skowronek: A skąd pana zdaniem w ogóle ta decyzja, że ta Moskwa to komercyjny [teatr]?

Kazimierz Iwaszko: Za pieniądze.

Justyna Skowronek: Pieniądze?

Kazimierz Iwaszko: Pieniądze. Oni podejrzewam, że w środowisku, bo ja byłem nawet na festiwalu we Włoszech, środowisko tych teatrów na zachodzie było w dużej mierze spenetrowane przez komunistów, komunistyczna partia Włoch, i oni często byli nieświadomi zapraszając teatry z Polski, bo oni byli na tyle głupi, że myśleli, że jak z komunizmu przyjeżdża teatr to jest prokomunistyczny, dopiero w trakcie przedstawienia niektóre znaki pokazywały, że jest antykomunistyczny. Były takie ogromne rozdarcia.

Justyna Skowronek: No tak, ale tutaj świadomość z drugiej strony, że jak przyjedziemy z Moskwy powinna być w przypadku...

Kazimierz Iwaszko: Nie wiem, uważam, że to środowisko było od początku takie dziwne i jawnie się jawi jako pożyteczny idiota, który ich ogromnie wspierał, załatwiał tę benzynę, której nie było, po znajomości i się niezwykle starałem o to, żeby ten Lublin był gościnny i spełniał tam jakieś, zwłaszcza dla ludzi z Zachodu. Pamiętam, że naj-

bardziej to też kiedyś ktoś mnie zrugął, że przy okazji tych festiwali było dużo tych zagranicznych i oni na czarno sprzedawali waluty, że ja nigdy nic nie kupiłem, a istotnie wiedziałem, że oni często pytali, gdzie tutaj kto chce kupić tam 100 dolarów, tam jacyś Anglicy, i ktoś mi powiedział: „Ale byłeś durny, trzeba było wszystko skupić”.

Justyna Skowronek: No tak, bo tam się tworzyły te rynki takie nielegalne, absurdalne.

Kazimierz Iwaszko: „Zwłaszcza, że ty miałeś gotówkę w biurku, bo przecież bilety były sprzedawane. Miałeś żywą gotówkę, tylko zamienić”. No ale myślę, że ja bym może i to zrobił, gdybym miał czas. No i taki jest ten sierpień, po podpisaniu porozumień, no to wraca już moja żona do Gdyni, bo to już jest wrzesień, no i oczywiście wielki entuzjazm, i Lublin znów, tak jak podkreślam fenomen lubelskiego lipca, że się zorganizowali w zakładach, tak jak kolejarze czy miejska komunikacja otwartych, niezwykle trudnych, tak teraz, już we wrześniu prawie, w niektórych zakładach powstają struktury Solidarności jak grzyby po deszczu. Mój brat jest jednym z takich aktywistów, którego zapraszają do zakładów pracy, tych jeszcze molochów komunistycznych FSC, żeby pomógł im założyć Solidarność. Pomoc ta jest dość łatwa, bo wszyscy się garną, no jest entuzjazm. Więc co tam na tych zebraniach najbardziej jest cenne: znaczki Solidarności, te na plastiku to wtedy była nowość. Kto ma takie znaczki? Nikt jeszcze nie potrafił szybko produkować, bo później się nauczyli. Druga rzecz, która jest wtedy niezwykle chodliwa, no to literatura, która jest pół już legalna, bo ci drukarze trochę wychodzą na zewnątrz, no i tutaj kolporterzy najwięcej roboty mają, którzy z różnych ośrodków z Polski przywożą do Lublina plecaki tej bibuły nazwijmy.

Justyna Skowronek: Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: Handlują, ceny ustalają - ceny są niesamowite, rośnie to jak dzisiaj cena truskawek, więc kolporterzy nieźle żyją.

Justyna Skowronek: Żyją, tak. I to wszystko we wrześniu się dzieje, teraz to jest wrzesień?

Kazimierz Iwaszko: No to jest wrzesień, no właśnie tak. Na uniwersytecie jeszcze są wakacje, w związku z tym część profesorów takich powiedzmy związanych z odnową Polski nie ma z kim specjalnie działać, ale pod koniec września tam już chyba powstają jakieś takie pierwsze struktury Komisji Zakładowej i w październiku już chyba powstaje Komisja Zakładowa Solidarności, do której mnie biorą do prezydium, ale to nie dlatego, że mam jakieś specjalne zasługi, bo w stanie wojennym te moje zasługi, które ja sam sobie przypisuję, zostały tak dotknięte w pewien sposób publiczny - mianowicie w grudniu osiemdziesiątego pierwszego roku, a to jeszcze dużo wcześniej, jest już zmiana rektora ze Skrzydły na solidarnościowego, nie wiem, czy to się nazywał profesor Baszyński z biologii. Czyli nasz rektor jest, nasz senat w uniwersytecie i nasz rektor, i tenże rektor po 13 grudnia jak przychodzi tam do tej Chatki Żaka, już kiedy te audycje poleciały, on wiedział, że ulotki drukujemy, że tu jest, nie wiem, pseudokomitek strajkowy, aczkolwiek nic takiego nie było, i on w rozmowie ze mną pyta o te rzeczy, czy to prawda, a ja potwierdzam, że to prawda, no zaufany człowiek. Nie wiem, z kim był, przy mnie rozmawiają, że to wszystko jest nienormalne, że skoro u Kazimierza Iwaszki może się to dziać to on jest jakiś dziwny człowiek, kto mu daje zezwolenia na to? Stan wojenny takich wszystkich już wsadził do więzienia, a „Tu jest 17 grudnia i ty jeszcze jakieś sobie audycje [nadajesz]?”. I ja to bardzo

mocno przeżyłem, że jednak mam większe zaufanie u pierwszego sekretarza.

Justyna Skowronek: Rozumiem.

Kazimierz Iwaszko: No to już jest spory czas, który minął od tamtych [wydarzeń], ale ciągle uznają mnie chyba, że jestem podwójnym agentem. I 17 grudnia taki ciekawy incydent: też wieczorem z tej Chatki Żaka wychodzę, a do tej Chatki Żaka przychodzi zobaczyć, co się dzieje dyrektor administracyjny ówczesny uniwersytetu, on się nazywał Leszek Rupert, bardzo bliski mi człowiek, byliśmy nawet na „ty”. I ja mówię, że ja muszę coś zrobić ze sobą, bo tu chodzą, część tych chłopców już siedzi w więzieniu. Mówię: „Leszek, ja mam masę zaległych urlopów. Napisz z dniem 17 [grudnia], żebyś mnie wysłał na urlop”. Jak on mnie skrzyczał: „Co ty sobie myślisz? Ja mam dwoje dzieci i w co ty mnie ładujesz?”.

Justyna Skowronek: Czyli nawet na tym poziomie nie chciano.

Kazimierz Iwaszko: Co go nic nie kosztowało.

Justyna Skowronek: Tak, tak.

Kazimierz Iwaszko: Wziął, podpisał urlop, przyszedł Iwaszko, poprosił o urlop, żeby sobie gdzieś tam pojechał do Gdyni i mieliśmy spokój. No i tak to mniej więcej wyglądało, że Leszek Rupert jednak te dwoje dzieci miał, poświęcił dla wyższych celów, a nie dla takich małych jak urlop dla mnie.

Justyna Skowronek: No tak.

Kazimierz Iwaszko: Bo większe cele sobie postawili ubecy, kiedy ja musiałem pojechać do Lublina i się ujawnić. W Gdańsku życzliwy ubek mojemu teściowi doniósł, że Lublin przekazał polecenie, że ja gdzieś tu jestem, żeby mnie znaleźć i przesłuchać, i najlepiej by było, żeby oni mnie nie przesłuchiwali, bo nie wiedzą, o co w Lublinie chodziło, żebym ja pojechał i przed Lublinem się ujawnił, a oni wtedy już nic nie muszą robić, mają spokój. Taka życzliwa porada.

Justyna Skowronek: Tak.

Kazimierz Iwaszko: I teść mi to przekazał jako dyrektor szkoły. Ubeka żona pracowała u teścia jako nauczycielka, nie wiem, matematyki, no i życzliwy, po radzie takiej, no i ja tam, nie wiem, chyba z dzień się zastanawiałem, czy mam jechać do tego Lublina i się ujawniać czy nie. No i chyba doszliśmy do wniosku, że ja pojedę, przy okazji spotkam się z rodziną, pójde do tych ubeków na ulicę Narutowicza, gdzie myślałem, że spotkam tego swojego przyjaciela ubeka, Witka Gwiazdę, z którym tak żyłem dobrze. Ale nie spotkałem jego, zostałem przyjęty, jak to u ubeków bywa, na wesoło, z wulgaryzmami. Zobaczyli, że mam torbę. „A co masz w tej torbie? Nikt ciebie tutaj na portierni nie sprawdzał?”, mówię, że nie. „To otwórz, my zobaczymy. A, ha, ha, masz szczoteczka do zębów? Ty myślisz, że my mamy jakieś zamiary wobec ciebie? Ty nic nie znaczysz, a co nas ty obchodzisz”. „No to - mówię - to bardzo do-

brze, no ale przyjechałem się rozliczyć”. Fajnie, tam krótka ta rozmowa była. „To fajnie - mówi - pisz oświadczenie, że od dnia tego i tego w Lublinie nie przebywasz i nie będziesz przebywał”. Ja napisałem to oświadczenie, bo to już była prawda, że ja już do tego Lublina nie mam po co wracać - pracy nie mam, zostałem dyscyplinarnie 17 grudnia wyrzucony z pracy. Żona w Lublinie z synem, no i tak się zaczęła moja gdyńska przygoda, bardziej poważna, bo tu się zajęłem rodziną, a nie polityką. Bałem się gdziekolwiek zgłosić w Gdyni do działaczy i stanu wojennego i później, aż do dziewięćdziesiątego roku, do osiemdziesiątego dziewiątego, bo uważałem, że potraktują mnie jako niepewnego człowieka, który przyjeżdża z obcego środowiska, przecież nie da się sprawdzić i zweryfikować, ale też dostaliśmy mieszkanie. Moja żona była członkiem spółdzielni i długi czas zajmowałem się urządzaniem tego mieszkania, podłogi robiłem. Nie byłem w nim zameldowany i ubecy o dziwo szukali mnie przez żonę, ale w pracy żony, czyli w Szkole Podstawowej Nr 40 w Gdyni Chyloni, przychodzili do dyrektora i pytali, czy mąż nie przychodzi po Marię Iwaszko tutaj czasem, nie odprowadza dziecka do szkoły i tak dalej. Dyrektor po latach twierdził, że zgodnie z prawdą odpowiadał, że nie, bo ja prawie nie wychodziłem z tego domu, i nigdy nie wpadli na pomysł, żeby przyjść do domu, kiedy ja układam kafelki. Gotowy jestem do rozmów - nikogo nie ma.

Justyna Skowronek: Byłoby najprościej.

Kazimierz Iwaszko: Nie rozumiem dlaczego. Uważałem ich zawsze za inteligentnych, a tutaj raptem [nie przychodzili]. Być może nie chcieli.

Justyna Skowronek: Może to był przejaw tej inteligencji właśnie. Być może tak.

Kazimierz Iwaszko: Być może nie chcieli, nie wiem. To są jakby niezbadane...

Justyna Skowronek: Raporty, tak.

Kazimierz Iwaszko: I kiedy później już jak, nie wiem, 2000 rok, jestem naczelnikiem Wydziału Oświaty, tam kierownikiem już w Gdyni w Urzędzie Miasta, teść do mnie dzwoni - to musiało być przed 2000 rokiem - czy ja bym nie chciał się spotkać z tym ubekiem, który był tak życzliwy wtedy dla teścia i którego ja jeszcze nie znałem.

Justyna Skowronek: Ostrzegł tak.

Kazimierz Iwaszko: Ja pytam: „On chyba ma kłopoty z córką czy z kimś tam. Chyba będzie szukał pomocy w szkole, gdzieś ten”, ja mówię: „Dobra”. Nie pamiętam, jak ten ubek się nazywał, może sobie przypomnę pod koniec. Już jestem emeryt. I on przyszedł do mnie i istotnie był problem z jego wnuczką, która nie mogła zrobić matury gdzieś na Obłuzu czy gdzie, tam w liceum, a nie mogła, bo chyba popadła w straszne tarapaty takie zdrowotne, narkomania i tak dalej, i tak dalej. I ja wtedy się zaangażowałem przez tę szkołę, gdzie znałem dyrektora, żeby mu pomógł, i bardzo chyba życzliwie z nim rozmawiałem, ale cały czas chciałem, żeby on na koniec powiedział o tej rozmowie z teściem. Nie wspominał.

Justyna Skowronek: A pan nie nawiązywał?

Kazimierz Iwaszko: Nie, ja też nie.

Justyna Skowronek: Pan czekał po prostu, żeby...

Kazimierz Iwaszko: Tak, że on powie, że byliśmy kiedyś tak daleko od siebie, a teraz tak blisko.

[KONIEC NAGRANIA 01:06:24]